

Sam sobą handluje

- Wychodzę z panią Krystyną na papierosa, rozmawiamy po próbie, ale cały czas mam chęć piszczeć: jaaaaa, jestem z Krystyną Jandą! Ona mnie ukształtowała, obejrzałem wszystkie filmy, spektakle z nią po tysiąc razy - mówi KAMIL MAĆKOWIAK, popularny łódzki aktor, który po odejściu z Teatru im. Jaracza założył własną fundację.

Justyna Muszyńska-Szkodzik: - Po 11 latach kultowy „Niżyński” wraca we wrześniu do Łodzi tylko na kilka spektakli w Teatrze Nowym. To naprawdę będzie pożegnanie z tytułem?

Kamil Maćkowiak: - To set pożegnalny przede wszystkim ze względów ekonomiczno-technicznych, bo nie mam sceny, która dałaby szansę na eksploatację tego monodramu. W powrocie „Niżyńskiego” do Łodzi pomogło mi Łódzkie Centrum Wydarzeń - dostaliśmy dofinansowanie w wysokości 11 tysięcy złotych. Pojawiają się także zaproszenia z innych miast, aby tam zacumować z „Niżyńskim”. Po dwóch latach grania tego monodramu w Warszawie zyskał on na jakości i żał mi się z nim rozstawać.

Od razu wyprzedaliście bilety na ten tytuł w Łodzi - na czym polega fenomen jego popularności?

- Jeszcze przed kampanią reklamową, na początku sezonu ogórkowego, sprzedaliśmy bilety w tydzień. To jest dla mnie zaskakujące. Monodram wyzwala emocje: wzrusza, szokuje, dotyka, uderza w najczulsze struny. „Niżyński” jest fenomenem chyba ze względu na swoją autentyczność. Osią przedstawienia jest pogłębiająca się choroba psychiczna wybitnego tancerza, sześć tygodni jego życia, pisanie dzienników i absolutnej psychozy. Temat przemawia do widza, bo staram się być bardzo wiarygodny w odgrywaniu choroby psychicznej, nie pokazywać choroby, ale wejść w nią całym sobą. Monodram cały czas się zmienia. Na początku jako dwudziestopięcioletek dotykałem w „Niżyńskim” bardziej neurotycznych stanów, na pierwszym planie była wrażliwość tego człowieka, a teraz bardzo biologicznie, totalnie gram chorobę psychiczną. Zmienił się punkt ciężkości, są nowe projekcje multimedialne, nowa oprawa plastyczna.

Kamil Maćkowiak zmienia się wraz z „Niżyńskim”...

- To chyba kwestia dojrzewania, dojrzywałem wraz z „Niżyńskim”, on we mnie wrósł. Grałem go ponad dwieście razy, niemal we wszystkich miastach w Polsce, także w Europie po angielsku, rosyjsku.

Zaczynacie czwarty sezon działalności Fundacji Kamila Maćkowiaka. Okazuje się, że życie po „Jaraczu” jest możliwe.

- „Niżyński” inauguruje kolejny sezon, jest mocnym otwarciem i naszą dumą. Optymistyczny plan to trzy premiery, natomiast po latach menedżerowania w fundacji jestem bardzo sceptyczny w stosunku do tych założeń i afiszowania się planami, bo życie weryfikuje marzenia.

„DIVA show”, „Amok”, „Ławeczka na Piotrkowskiej”, „Wraki” - co dalej?

- Przymierzam się do sztuki z Magdą Schejbal, chcę też wyprodukować spektakl dla dwóch aktorów, w którym nie zagram. Na pewno powstanie monodram, bo monodramy robimy coraz ekonomiczniej, nie płacimy reżyserowi, aktorowi, scenarzyście. Przed dwoma laty zachwyił mnie tekst Klausa

Kinskiego „Ja chcę miłości”. To autobiograficzna opowieść o wielkim aktorze – geniuszu, ale też niezwykle skomplikowanej, ekscentrycznej naturze. Był seksoholikiem.

Lubi pan takie skrajności?

– Śmiejemy się, że monodramu o seksoholizmie u nas jeszcze nie było. Skrajności mnie fascynują, ale ten temat nie wynika z kalkulacji, po prostu wybieram tekst, który mnie wciąga. W tym sezonie zagramy dwa monodramy razem: „Wraki” i „Klausa”, a widzowie zdecydują, który spektakl zostanie w repertuarze na stałe.

Prowadzenie fundacji to ciężki kawałek chleba?

– Niestety, to jest kolejny rok działalności bez żadnego dofinansowania, bez zewnętrznych sponsorów. Może ludzie w Łodzi nie są zainteresowani wspieraniem kultury? Fundacja otworzyła się więc na działalność reklamową. Sam sobą handluję. Zacząłem rozumieć słowa Krystyny Jandy, że jest produktem swojej fundacji. Mam podobnie. Jestem twarzą fundacji, jeśli ktoś chce mnie kupić, a będzie to z pożytkiem dla nas, to nie mam już oporów. Menedżer we mnie mówi: tak trzeba, musimy mieć pieniądze na rachunki. Przyszły sezon będzie dla nas decydujący, zobaczymy, na ile miasto będzie chciało z nami współpracować, na ile znajdzie się mityczny sponsor, bo bez tego nie da się stworzyć profesjonalnego teatru. Mamy widzów i to jest nasz sukces. Reklama i sponsoring to w fundacji dwa najważniejsze działy. Mówię do moich ludzi: musimy się reklamować i pozyskiwać pieniądze, resztę tatuś Kamil załatwi.

Z aktora coraz wyraźniej staje się pan menedżerem?

– Prowadzenie fundacji jest dla mnie priorytetem. Przyszedł czas na niezależność, na mierzenie się z problemami, które mnie kiedyś przerastały i irytowały. Dobrze mi robi, kiedy nie czekam tylko na obsadzenie w roli. Idę w kierunku menedżerowania. Za parę lat chciałbym tworzyć repertuar, może reżyserować, produkować spektakle, niekoniecznie ze sobą w obsadzie. Chciałbym, żeby fundacja była ośrodkiem kulturalnym, który się rozrośnie.

Szukacie swojej sceny w Łodzi?

– Brakuje nam własnej sceny, ale dopóki jej nie mamy, chcemy być obecni w różnych miejscach. Będziemy nadal grać w Akademickim Ośrodku Inicjatyw Artystycznych, „Niżyńskiego” zagramy w Teatrze Nowym. Bardzo bym chciał przygotować coś na kameralnej scenie w Teatrze Muzycznym, w Muzeum Kinematografii.

Idzie pan śladem Krystyny Jandy, która prowadzi dwa teatry w Warszawie?

– Jestem fanem Krystyny Jandy od 16 roku życia. Pisałem o niej maturę z polskiego. Janda i grana przez nią Modrzejewska w dużej mierze spowodowały, że jestem aktorem.

Dziś - aktorem Krystyny Jandy. W Teatrze Polonia gra pan w „Kolacji Kanibali”, weźmie pan udział w nowym projekcie Och-Teatru.

– Pani Krystyna zadzwoniła do mnie z propozycją roli w „Lekcji stepowania”, gdy byłem w trudnym momencie życiowym. Spytała, czy umiem stepować, a ja na to: „Dla pani nauczę się nawet tańczyć na rżęsach”. Gram tam jedyną rolę męską, na scenie będę rodzynkiem.

Jakim szefem jest Janda?

- W stosunku do niej mam cały czas optykę fana. Wychodzę z panią Krystyną na papierosa, rozmawiamy po próbie, ale cały czas mam chęć piszczeć: jaaaaa, jestem z Krystyną Jandą! Ona mnie ukształtowała, obejrzałem wszystkie filmy, spektakle z nią po tysiąc razy. Cieszę się, że mam okazję podpatrywać, jak funkcjonuje jej fundacja. Janda jest bardziej profesjonalna niż mówi o sobie. Wszystko w dużej mierze spoczywa na jej barkach. Ona działa jak maszyna, to jest kobieta instytucja, wstaje o piątej rano, odpowiada na e-maile, idzie na próbę, zajmuje się fundacją, a wieczorem gra monodram. Nie wiem, jak ona to robi...

Może nie śpi?

- Mówi, że śpi szybko. Jest fenomenem pod każdym względem. Świetnie się z nią pracuje, bo na próbach nie jest ikoną, tylko nieprawdopodobnie otwartą, wyluzowaną, zabawną osobą. Potrafi też być wymagająca. Sama o sobie mówi, że jest przede wszystkim aktorką, a nie reżyserką, ale ma takiego czuja scenicznego, że jej konkretne uwagi trafiają w sedno.

Pieniądze, popularność... co przekonało pana do zagrania w serialu „Barwy szczęścia”?

- Przede wszystkim potrzeba pieniędzy na prowadzenie fundacji. Chciałem też odreagować codzienną pracę w Łodzi. Czasami miło jest pojechać do Warszawy, być tam tylko aktorem i pograć sobie w serialu.

Lubi pan swojego serialowego Marcela?

- Fajnie mi się gra tę postać. Jestem zaskoczony, że ona wzbudza takie emocje w widzach, a pani w Żabce mnie przeklina, gdy kupuję wino. Występowałem przecież już w kilku serialach, ale nigdy nie byłem tak identyfikowany z rolą.

Siła telewizji. „Amok”, w którym też grał pan alkoholika, nie miał takiego odbioru. Który z monodramów jest dla pana najważniejszy?

- Trudne pytanie. „Niżyński” był rolą, która przyniosła mi najwięcej nagród i prestiżu. „DIVA show” jest najważniejszym spektaklem fundacji. Jest i komercyjna, i offowa. Ma w sobie tyle sprzeczności... Wywołuje niezwykle emocje, przełamuje wiele granic w ludziach.

Psychoterapia ze sceny?

- Wielu recenzentów zauważyło, że jest to zbiorowa psychoterapia. Gdy wychodzę na scenę w makijażu, kiece, przyjmuję konwencję żartowania z siebie, to ludzie się otwierają, mówią o sobie. Okazało się, że „DIVA show” jest naszym największym sukcesem frekwencyjnym. Dostałem za nią trzy nagrody na Wrocławskich Spotkaniach Teatrów Jednego Aktora. Myślę, że niebawem pojedę z tym monodramem do Warszawy.

Czy Warszawa nie kusi do przeprowadzki?

- Od lat kusi, ale jakoś nie skusiła. Był czas, że więcej miesięcy spędzałem w pracy w Warszawie niż w Łodzi, ale dopóki fundacja jest tutaj, dopóty ja jestem. Ciężko byłoby mi zostawić łódzką publiczność. Jestem aktorem i producentem, który w swoim teatrze na pierwszym miejscu stawia widza. Bez widza nie ma teatru.

Teatry narzekają na brak publiczności...

- Teatry borykają się z frekwencją, obniżają ceny biletów. My nie możemy sobie na to pozwolić, bo musimy się z biletów utrzymać. Promocje, takie jak zniżki na bilety z „Kalejdoskopem”, robimy rzadko. Łódzka publiczność jest wymagająca, ale jest też wierna, czego dowodem jest to, że od lat chodzi na moje spektakle i tworzy sukces fundacji. Mogę grać gościnnie w Warszawie i innych miastach, ale bazą jest Łódź.

Tu jest panu dobrze?

- Czuję się łodzianinem, choć urodziłem się w Bydgoszczy, a wychowałem w Gdyni. W Łodzi skończyłem „filmówkę”, tu jest mój dom, przyjaciele, praca, firma i widzowie. Czego chcieć więcej.

Nadal lubi pan Księży Młyn i park Źródlika?

- To sentymentalne rewiry z czasów studiów, tam mieszkałem blisko szkoły filmowej. Potem przenieśliśmy się na Piotrkowską. Myślę, że można lubić Łódź za niekomercyjny charakter miasta, inne tempo życia. Przez lata była zaniedbana, teraz odbija się od dna. Łodzianie są otwarci na takie inicjatywy jak moja fundacja, są głodni sztuki.